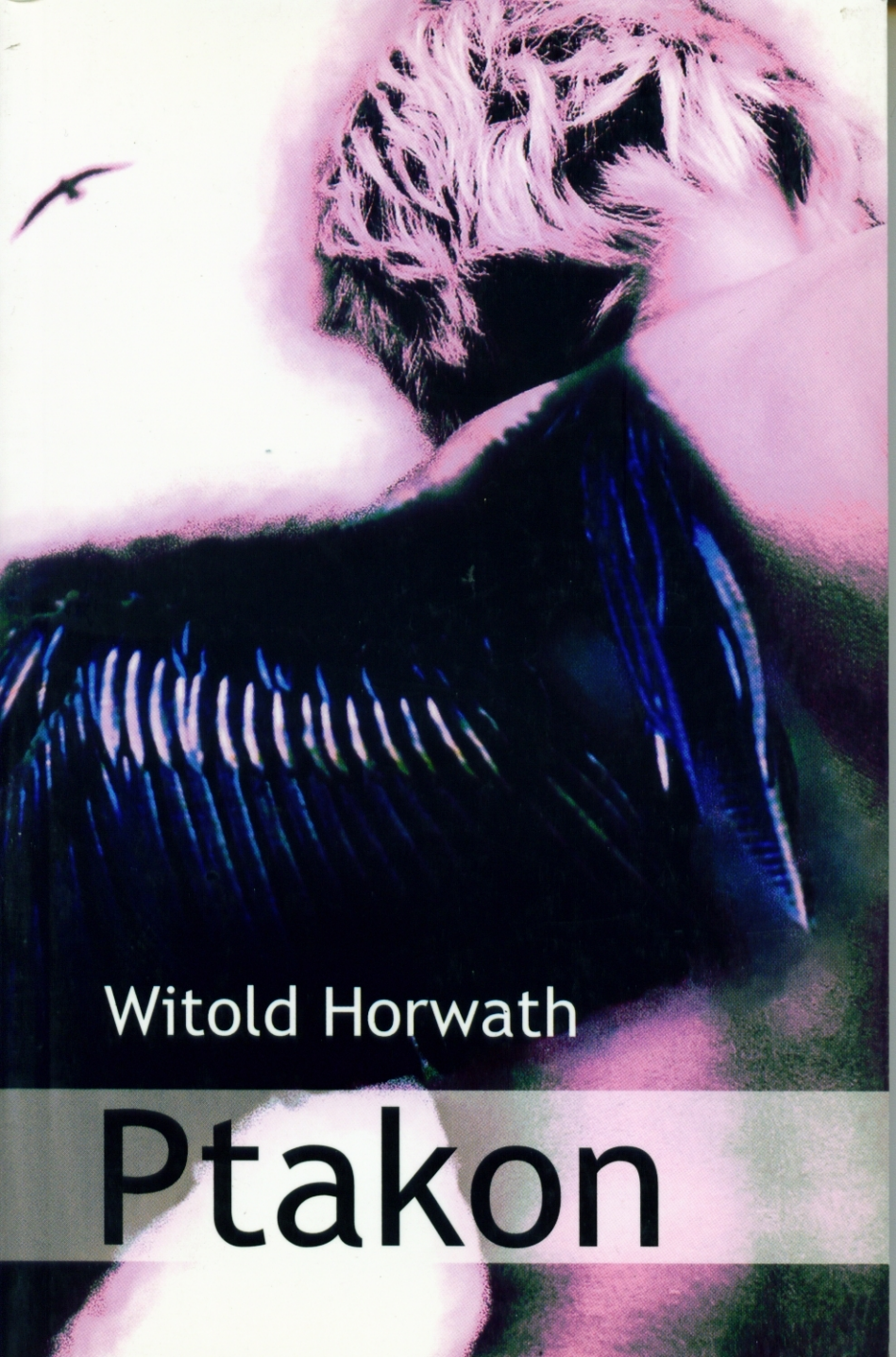




Witold Horwath

Ptakon

Ptakon

Witold Horwath

Ptakon

Jirafa Roja
Warszawa 2006

© Copyright by Witold Horwath, 2006

© Copyright by Jirafa Roja, 2006

Korekta: **Magdalena Rejnert**

Łamanie: **Tatsu** 

Zdjęcie na okładce: **Żaneta Delegacz**

ISBN 98-83-62948-49-9



Wydanie II – zmienione
Warszawa 2006

*When the white fog burns off,
the abyss of everlasting light is revealed.*

Denise Levertov

Autobus stanął przy rzędzie płotów,
zasłaniających nieład podwórek, smętek domostw z pustaków,
jazgot kundli. Jak wielki kod kreskowy wyglądał cień
rzucany przez sztachety na piaszczyste pobocze
lub jak drabina leżąca pod stopami
starego człowieka,
który wysiadł z autobusu.
Naprzeciw,
po drugiej stronie spękanego asfaltu, był uskok, a w dole
dachy domów, domków, bloków, kościelna wieża i komin fabryczny;
taki widok miał po lewej ręce, po prawej zaś, gdy już skończyły się płoty,
ścianę lasu. Niepewny drogi, zawahał się chwilę, nim skręcił
w przesiekę. Szedł, wdychając zapach nie nazwany imieniem
brzozy, sosny, paproci,
mchu, bo takich nazw nie mógł dać woniom mieszczuch.
Szedł, myśląc o narodzinach tych wszystkich roślin; od najwyższego
drzewa
po zapyziałą trawkę, każde wzrosło tam,
gdzie wiatr miał kaprys powierzyć ziemi jego zarodek,
więc olszyna, którą minął, tak samo powstała przypadkiem
jak on, Stefan Kozerski.

Żaneta

Psychiatrą został mniej więcej tak, jak człowiek, który wsiada do metra i sam nie wie, czemu wybiera akurat ostatni wagon; i rzeczywiście ta specjalność, myślał później często, jest takim na końcu wagonikiem, co odczepił się od lokomotywy postępu — w owych latach jeszcze się mówiło „lokomotywa postępu”, a także „wróg postępu” — i za cholerę nie pozwolił się wywlec z tunelu na pożądaną, naukową jaśń;

i chociaż uczeni co i rusz tromtadracko obwieszczali triumf, on, stary praktyk, doskonale wiedział, że tak naprawdę od czasów Pinela i Kraepelina zmieniło się załośnie niewiele, i w tym interesie dwudziestowieczne jest tylko instrumentarium: prąd elektryczny, chemia, ba! nawet komputery zaprzęgli do roboty,

lecz to właśnie czyni komiczny kontrast, kiedy owych urzędników używają znachorzy, szamani oraz zaklinacze chorób, tacy jak on, których dyplom lekarski, a co za tym idzie, wiedza przydać się mogą wyłącznie wtedy, gdy ten, w kim chorobę nazbyt usilnie się zamawia, nie wytrzyma i dostaje zapaści;

a choroba nadal siedzi w mroku, nie bardziej przejrzystym niż średniowieczny. Że tak się sprawy mają, podejrzewał już po dwóch latach praktyki, po dziesięciu był pewien, a dziś, po czterdziestu, nie nazywa nabranego przekonania rozczarowaniem ani dramatem,

jeśli już — to znużeniem. Bo w rzeczy samej nuży profesora Kozerskiego myśl, że choćbyś pękł, ludzie się nie zmieniają, a niektórzy spośród nich — statystycznie od 1 do 3 procent populacji — to wariaci, i ci nie zmieniają się już z całą pewnością; można użyć całej magii, podać takiemu kilogramy narkotyków, na rok uśpić atropiną, kopać prądem aż do wytrząśnięcia bebechów, można jeszcze bardzo wiele,

lecz i tak próżny trud, wariat dalej będzie wariatem, a lekarzowi, bo za to bierze pensję, pozostanie tylko pilnować, by nie zrobił sobie lub — co gorsza — innym jakiejś krzywdy; aha! i jeszcze, by ci inni nie skrzywdzili wariata.

Mówił to wszystkim swoim studentom, więc również

dziewczynie w wytartych dżinsach i niegdyś czarnej koszulce, na której napis „Columbia University” wiele prań temu kontrastował bielą, a dziś zlał się z tłem w prawie jednolitą barwę,

szarą jak nastrój jego słów i zmierzch za oknem gabinetu, gdzie dzieliło ich biurko, różnica wieku oraz pamięć poprzednich spotkań.

Była dość ładna. Nie, zdecydowanie ładna, skorygował z lekkim zaskoczeniem. Zwłaszcza oczy ma wysokiej próby, gdy z napięciem wpatruje się w tekturową teczkę, którą położył przed sobą. Wyciszona, raczej inteligentna twarz młodej kobiety, i pewnie trzeba było jego wiedzy, by dostrzec to, co przebijało się przez jej rysy jak palimpsest, coś plebejskiego, z gruntu wulgarnego; Anka patrzyła na teczkę, a Kozerski monotonnie mówił.

— Czy to wszystko ma mnie zniechęcić do psychiatrii? — spytała wreszcie, taktownie mieszcząc się w pauzie. — Pan profesor dobrze wie, że moja motywacja...

Był mniej taktowny; przerwał jej.

— Twoja... przepraszam, pani motywacja jest rzeczywiście szczególna. — Rozsupłał tasiemki teczek, otworzył,

maszynopis jak skóra człowieka, z którego zdarto ubranie i którego zaraz będą bili, w oczach Anki przedbłyski lęku, dobrze skrywane, lecz nie przed starym praktykiem. — Zadała sobie pani iście benedyktyński trud. To imponujące zgromadzić ponad sto, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem, opisów przypadków, i to aż od czasów Rzymu po najnowszą kazuistykę kryminologiczną. Mówiąc nawiasem, w kilku tych sprawach występowałem jako biegły i nie do końca podzielał pani punkt widzenia. Ci ludzie nie byli chorzy. Gdybym miał choć cień wątpliwości, zaręczam, zaznaczyłbym to w opinii.

Poruszyła się niespokojnie.

— Nie mam na myśli choroby psychicznej, tak jak rozumie to kodeks karny. W świetle prawa byli odpowiedzialni za swoje czyny i ponieśli ich konsekwencje.

— Mieli zdolność rozpoznania znaczenia czynu i pokierowania swoim postępowaniem — zacytował z artykułu,

dokładnie takim samym znużonym tonem, jakim mówił przed chwilą o bezużyteczności psychiatrii. — Jako lekarz musiałem to potwierdzić, a jak jest naprawdę — rozłożył ręce w ironicznie bezradnym geście — sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Jeśli rzeczywiście czeka nas po śmierci sąd, to mam nadzieję, że powołuje bardziej kompetentnych biegłych. — Okręcił tasiemkę wokół palca i obserwował, jak jego czubek bezkruwicie blednie. — Ten zgromadzony przez panią materiał, a zwłaszcza komentarze są niesłychanie interesujące, przeczytałem jednym tchem jak powieść. Oczywiście rozumiem, że nie uważa pani tego za pracę naukową.

— Sam pan powiedział, że psychiatria nie jest nauką *sensu stricto* — zripstowała..

— Oczywiście. Jednak nie jest aż do tego stopnia magią, by dało się ją sprowadzić do jakiegoś jednego kamienia filozoficznego, jak to pani próbuje robić. Przeciwnie: im mniej wiemy, tym ostrożniej powinniśmy formułować hipotezy.

— Akurat klinika padaczki skroniowej jest dość dobrze opisana. Nie wyszłam w swoich rozważaniach poza to, co mówią klasyczni autorzy, Jackson, Gastaut, Janz...

Zachnął się.

— Ale zupełnie dowolnie rozpoznawała pani zespoły chorobowe. Skąd, na przykład, pomysł, że Neron miał osobowość naprzemienną? Badała go pani? Stwierdziła dezorientację albo niepamięć, wskazującą na zamroczenie jasne?

Przerwał; spięta czekała na dalszy atak.

— Albo ten seryjny zabójca z Krakowa. Badałem go osobiście i gwarantuję, że miał tylko jedną osobowość, całkowicie zdominowaną przez zbrodnicze popędy!

— I wyklucza pan, że przyczyna tych popędów była zlokalizowana w płacie skroniowym? Przecież w tamtych czasach dysponował pan tylko odną czaszkową. Nie było tomografii ani rezonansu...

— Zgoda. Dziś możliwości wglądu w centralny układ nerwowy są znacznie większe. Lecz mimo to, w przypadku psychopatów, rzadko znajdujemy tam coś godnego uwagi.

Anka wyjęła z paczki ekstra mocnego, obraca w palcach, nie zapala, jej twarz rozmazuje się w szarości, powinien włączyć światło,

powinien, ale nie robi tego, bo im mniej światła, tym słabsza pamięć, a po co oboje mają pamiętać przy trzech długich, grubych jarzeniówkach z sufitu; w 1972 na kongresie w Pilźnie czeski psychiatra miał referat o wpływie oświetlenia szpitala na proces leczenia psychoz, hokus-pokus, abrakadabra, czterdzieści lat przyswajania sobie tajników magii; podsunął dziewczynie popielniczkę, podał ogień, sam zapalił.

— Oboje wiemy, dlaczego powstała ta praca. Czy po to poszła pani na medycynę, żeby przy pomocy naukowych pojęć zracjonalizować sobie sprawę Żanety?

Zaprzeczyła. Nie słowem, ale jakby każdą komórką ciała. Przez chwilę sądził, że powie coś o spłacaniu długu, co brzmia-

łoby jak banał i kicz, mimo że pewnie byłoby prawdą, ale właśnie prawda ma to do siebie, że bywa banalna i kiczowata; nieprzypadkowo ci, którzy uciekać chcą w oryginalność, prawie zawsze skazują się na zakłamanie.

Nie powiedziała nic, odczekał, dwa razy zaciągnął się papierosem, musiał mówić.

— Pani odpowiedzialność za życie Żanety to wyłącznie sprawa sumienia. Choćby nawet odkryto patogenezę takich zachowań...

— Poczuję się do odpowiedzialności — przerwała mu twardo, tonem, którego zwykło się używać przy składaniu przysięg. — Za jej życie, i za jej śmierć!

Choćbyś pękł, ludzie się nie zmieniają, a jeśli zmieni ich naturalny, biologiczny proces starzenia się, aż wreszcie — i jedynie skutecznie — rozkładu, na opuszczone miejsce przychodzą inni, niekoniecznie gorsi, jak głoszą katastrofiści, wystarczy, że dokładnie tacy sami;

i dlatego widziałem cię już, słyszałem, mógł powiedzieć dziewczynie, która miała na rękawach piżamy krew i siedziała na brzegu żelaznego szpitalnego łóżka,

bo znał ten sposób mówienia i uśmiech, co zdawały się odwiecznym depozytem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie; więc mógł jej powiedzieć — ale jakież miałyby to sens? nie za to mu płacą — że w słowach i mimice jesteście identyczne, choć upływają stulecia, i zmienia się wszystko, również język, a zatem nie nazywają już was murwami oraz wszetecznikami, i również prawo, a zatem nie siekają już was różgami u pręgierza i nie wypędzają za bramy miasta; ale na przekór tym i wszelkim zmianom, wy pozostajecie sobą, w jakiejś gatunkowej nieprzeobrażalności, podobnie jak wesz z łona wikinga niczym nie różni się od tych, których nabawiłaś się tam, w więzieniu dla młodocianych.

Mógł też dodać — ale milczał, milczał i patrzył na nią —

że ma oczy tej młodziutkiej Niemki, pielęgniarki z baraku dziecięcego w Majdanku, która wstrzykiwała mu podskórnie kwas borny; tarzał się z bólu po podłodze, a Fraülein uśmiechała się prawie identycznie jak ty, szesnastoletnia kanalia,

a potem dziesięciolecia praktyki w zawodzie i setki replik twoich i jej, więc widziałem cię już, znam każdą twoją myśl, i tak naprawdę nie przerażasz mnie, tylko do mdłości nudzisz — nie powiedział; gdy dziewczyna cicho poprosiła o papierosa, z ulgą podsunął zapalniczkę, bo dym aromatyzowanego carmena mógł przytłumić troszkę zapach nie mytego od tygodni ciała, czemu tani dezodorant nie do końca sprostął; tym tylko różniła się od Niemki, że tamta szorowała się dwa razy dziennie i nie śmierdziała.

— Nazywasz się?

— Tam pisze. — Ruchem głowy wskazała zawieszoną na poręczy łóżka kartę choroby.

— A imię? — spytał nie zrażony, jak mógłby określić ktoś, kto z boku przysłuchiwałby się ich rozmowę;

lecz laik pojęcia nie ma, czym jest wywiad psychiatryczny, i nie wie, że psychiatry z ponad trzydziestoletnim stażem zrazić nie sposób,

bo choćby pacjent pluł mu w twarz, gryzł, kopał, choćby indagowany, nasrał w odpowiedzi w łóżko, co się zdarza — tu zdarzyło się już wszystko, prawdziwy festiwal zachowań, bachanalia ludzkich możliwości — dla Kozerskiego to i tak tylko materiał, na podstawie którego udzieli sądowi odpowiedzi, czy winien jest człowiek, czy choroba,

i, dalibóg, myśli za każdym razem, siadając do pisania opinii, lepiej, by był to człowiek, gdyż człowieka można powiesić lub zamknąć do więzienia, a z chorobą nie wiadomo, co robić,

przynajmniej on, lekarz z profesorskim tytułem, tego nie wie.

Tym razem nie stawiała oporu; przeciwnie, z wyraźnym zadowoleniem powiedziała:

— Żanet.

— I tak mam się do ciebie zwracać? Z akcentem na drugiej sylabie?

Wzruszyła ramionami, miała wąskie ramiona i była wątła i krucha, jak robak, którego powinno się zdeptać.

— Pierdol się w ciasną! Możesz się zwracać, jak chcesz.

A potem zaciągnęła się głęboko i teatralnie wydmuchała dym.

— To na kiedy jestem wyznaczona?

— Wyznaczona?

— No, kiedy zrobicie mi ten zastrzyk? — Lekarz, który ją prowadził, zanotował w historii choroby, że osiã jej systemu urojeniowego jest lęk przed śmiertelnościami zastrzykiem, raz miał to być morbita, środek do usypiania zwierząt, kiedy indziej — na hitlerowską modłę w serce wstrzyknięta benzyna; tego lekarza, młodego chłopaka, świeżo po studiach, nazywała doktorem Mengele.

Z pustej paczki po carmenach zrobił popielniczkę i podsunął jej; dotąd strzepywała popiół na pościel.

— Boisz się śmierci?

Roześmiała się sztucznie. Albo tylko zabrzmiało sztucznie; to także wspólne dla tych wszy, że z boku wygląda, jakby grały przedstawienie w złym guście.

— Ochujaleś, doktorek? Dziewczyna na linę się rzuca, a ten pyta, czy boi się śmierci!

Trafiła tu po udaremnionej próbie samobójczej, próbie S, jak mawia się we wspólnym żargonie psychiatrów oraz biegłych w symulacji kryminalistów. Nie był przy tym, ale miał zaufanie do kompetencji służb więziennych — wiedział, że bezbłędnie odróżnią histeryczną demonstrację od prawdziwego samobójczego zamachu i z byle powodu nie oddadzą swojego klienta lekarzom.

— Sumienie?

Miał ją leczyć, nie nawracać, jej moralność interesowała go wyłącznie w medycznym aspekcie; to była pierwsza ich rozmowa, gdy został poproszony o konsultację, a Żaneta zaczęła mówić w miarę zbornie, bo do tej pory, jak napisano fachowo w karcie, mowa pacjentki stanowi mieszankę neologizmów i dziwactw słownych z wulgaryzmami oraz żargonem środowiska przestępczego. Gdy przyszedł, odwiązano ją od łóżka; rzemienne pasy głęboko odcisnęły się na nadgarstkach, ale krew na pizamie pochodziła nie od pasów, lecz stąd, że mimo ich zastosowania, ciągle wyrwała igłę kropłówki, a nawet potrafiła gryźć się po rękach;

spytał o sumienie, a ona powiedziała coś, co po zakończeniu badania postanowił zanotować.

— Nie zrozumiesz, doktorek, ale to jest tak, jakby mi ze skóry wyrastała trawa. Żdźbła przesyty.

Ona też to zapisała. Kilka tygodni wcześniej, jeszcze w więzieniu.

*Rosną ze skóry obce żdźbła przesyty
I śmierć na pewno jest na dnie przesyty
A one ciągle patrzą na mnie mówiąc
Że dziewczyna ma ręce tak sprawne jak chirurg*

Tak mówiły naprawdę o jej rękach,
o precyzji dłoni dziewczyny, która zdawała się wydana na żer, bo chociaż skazano ją z budzącego tu szacunek

artykułu „kto zabija człowieka”, poza tym była dla nich nikim, nowa, obca, co nie zetknęła się dotychczas z prawdziwym światem przestępczym, bo przecież Rafał, Sylwek i Bogdan, mimo że skrajnie zdemoralizowani i brutalni, byli chłopcami z dobrych, prominenckich domów; drobna, wręcz filigranowa,

całkiem inna niż te, co od pierwszej chwili taksowały ją wzrokiem: zmaskulinizowane, toporne lesby, którymi można tylko rządzić lub zostać ich do dna upodloną niewolnicą; wybrała władzę,

bezwzględna, absolutna, jaką jedynie inteligentny i silny sprawować może nad słabym i głupim; były na pograniczu matołectwa, a ona miała 140 w skali Wechslera, lecz, aby wykorzystać miażdżącą przewagę umysłu, musiała naprzód porazić stado strachem,

i zrobiła to drugiego dnia, kiedy obstały ją pod natryskiem; przesiąknięte smrodem gówna i środków dezynfekcyjnych nimfy sanitariatu,

które były tu tak u siebie, jak gdyby urodziły się gdzieś tam za kibelem: wynaturzone samice o sile fizycznej mężczyzny gapiły się rozdziawiając usta i uśmiechały do jej nagości, tak jak uśmiecha się niedorozwinięty pomocnik murarza, dla rozrywki wieszając kota.

Patrzyła w oczy tej, która podeszła najbliżej, a potem wyrzuciła do przodu ramię — i już nie miała w co patrzeć,

bo gdy ustało epileptyczne miotanie się ciała i kumpelki oderwały ręce leżące od twarzy, była tam sama krew, nic tylko krew,

szkarłatna przepaska ciuciubabki.

— Którą jeszcze zapisać do Związku Niewidomych? — spytała Żaneta; stado cofnęło się.

— Chirurgiem mogłabyś być — powiedziała z podziwem jedyna wśród nich ładna i zgrabna, dziwka, co zabiła Araba,

i odtąd we dwie tresowały stado, a naczelnik nigdy nie dowiedziała się, kto okaleczył tamtą dziewczynę; ona sama — ślepa na lewe oko i ledwie widząca prawym — szła w zaparte i zasłaniała się niepamięcią.

W niepohamowanym impulsie, jak gdyby nowa, nagła refleksja uczynniła bezużyteczne dotąd obszary mózgu, i ów impuls

właśnie z nich pochodził, wbrew regulaminowi oraz powadze miejsca, uśmiechnął się i zakreślił ołówkiem kilka zdań na 561 stronie; miał dwadzieścia lat, i w bibliotece Colegium Medicum siedział zgarbiony nad opasłym tomem *Psychiatrii klinicznej*; wzięty w kółko fragment poświęcony był rozszczepieniu osobowości, ale to, co za jego sprawą niespodziewanie, iluminacyjnie pojawił, dotyczyło podręcznika od deski do deski, jego wszystkich dziewięciuset stron oraz milionów stron wszelkich innych tego rodzaju publikacji,

lecz — co najważniejsze — dotyczyło studenta Kozerskiego, i całej jego przyszłej pracy zawodowej.

Czasem chory, nauczał czeladnika mistrz, zupełnie wyraźnie określa swoją nową osobowość, osnutą na urojeniach wielkościowych, twierdzi np., że mianowano go generałem. Na zarzuty, że nie posiada przecież ani potrzebnego wykształcenia, ani mianowania, ma gotowe odpowiedzi. Podaje mianowicie, że sam nie rozumie, dlaczego właśnie na niego padł wybór, a mianowanie ma mu być wręczone przy najbliższej sposobności.

Rzeczowy, nienaganny stylistycznie, klarowny, precyzyjny język profesora — śmieszył; a co za tym idzie, śmieszył opisany *mente captus*, choć przecież oczywiste, iż nie było zamiarem czcigodnego akademika naigrawać się z psychicznie chorych; wtedy, w kolosalnej, marnie ogrzanej sali bibliotecznej, poczuł jak gdyby dodatkową porcję chłodu;

nie ma ucieczki przed ironią, zrozumiał,

bo ona po prostu pierwotnie tkwi w języku, od grubych żartów, jakie cierpieć musi wiejski przyglup, po literacko wysmakowaną drwinę z Don Kichota;

i dlatego autor podręcznika, choć nie chciał, był ironiczny, i każdy opis szaleństwa będzie ironiczny, albowiem podobnie jak fala morska kształtuje nadbrzeże, tak samo obłęd narzuca wypowiedzi na swój temat formę oraz ton, czyli właśnie wymusza ironię,

którą on, Stefan Kozerski, adept psychiatrii, przyjmuje i przejmuję jako niezbywalny element swego zawodu;

lata mijały, gdy wcale do tej refleksji nie wracał, po prostu palił fajkę, palił papierosy z leciutko ironiczną miną; refleksja wróciła sama, kiedy powtórnie badał Żanetę;

już nie w półwieźiennej izolatce, ale w gabinecie udostępnionym przez ordynatora; jak rozmawiać, pomyślał, o jej żdźbłach trawy bez ironii? Bez tonu pobłażliwej wyższości, gdy samemu należy się do tych, którym na skórze żadna trawa nie rośnie? Spytał, bo musiał spytać, sztuka tego wymagała, czy to wrażenie było przykre,

a wtedy dziewczyna roześmiała się.

— Przepraszam, panie profesorze, ale wy, psychiatrzy, to chyba robicie sobie z nas jaja.

Musiał uściślić, czy w grę wchodzi omam, czy tylko znalazła metaforyczne określenie dla stanu, który ją nawiedził, i to była oczywiście przenośnia, halucynacje pojawiły się później, w noc próby samobójczej, i nie odstępowały jeszcze długo w szpitalu,

gdzie szamocząc się w pasach, przeklinała tych, którzy ją przeklinali, odgrażała tym, którzy grozili; miała klasyczny, podręcznikowy rzut psychotyczny, o symulacji mowy być nie mogło, więc jeśli pytał o początek, to nie w celu przyłapania na oszustwie, lecz by poznać historię choroby — przed rzetelnym lekarzem stoi wszak taki wymóg.

— Chciałaś odebrać sobie życie, bo nie mogłaś wytrzymać dłużej tego stanu, czy tak?

Skinęła głową.

— Potrafisz opisać moment, kiedy pierwszy raz to poczułaś?

Nie od razu odpowiedziała.

— Musiałabym podać okoliczności, a nie wiem, czy powinnam... Pan orientuje się, że w Zet-Ka istnieje tak zwane drugie życie?

— Orientuję się — odrzekł sucho, trochę jakby krępował go fakt, że mają jakiś wspólny zakres wiedzy; nie krępował jednak, raczej doskwierał, niby ćmienie w zębie lub zgaga;

ta szesnastoletnia kryminalistka i jej świeatek oraz setki innych, którzy siadali przed nim, kurczowo ściskając w dłoniach swoje światy, niby małe globuski dla dzieci; byli przejrzysti w swym bełkocie, a jednocześnie zakuci w jakiś pancerz, od którego odbijały się wszelkie słowa i działania;

nie, nie czuł się katorżnikiem pchającym taczki bez nadziei, nie ta miara, bardziej właśnie pobolewający ząb, pieczenie w przetyku.

— Znęcałyśmy się nad taką jedną — powiedziała tonem najdalszym od konfesyjnego. — Czy mam mówić szczegółowo?

Wzruszył ramionami.

— To ty wiesz, co w tym zdarzeniu było ważne...

— Nic nie było ważne! — Podniosła nagle głos. — Takie rzeczy działy się tam codziennie, kilka razy dziennie, a potem w nocy, i znów w ciągu dnia! — Nie pytając wzięła z jego paczki carmena i obsłużyła się jego zapalniczką — Przesyt, rozumie pan teraz? Bo ile razy można hajcować się tym, że robisz z takiej szmatę? Że coraz bardziej ją upadlasz, aż do ostatecznych granic, za którymi nawet wyczerpuje się pomyślność, skoro już zmusiłyśmy ją do wszystkiego, pan powiedział, że mogę bez szczegółów, i wiem, że każdą jedną zmusimy, bo ja, Nataszka, plus kilka innych mamy tam większą władzę niż Hitler i Stalin!

Nagle, jak gdyby ktoś ją popchnął, osunęła się w głąb fotela.

— I wtedy, w ułamku sekundy, poczułam, że tym rygam, że już nawet moja skóra nie może tego znieść, i to było coś jak uczulenie, ale tysiąc razy gorsze, właśnie jakby żywcem wyrastała ze mnie trawa!

Odgarnęła grzywkę i Kozerski zobaczył jej oczy które wy-

rażały rozpacz i dziecięcą skargę; a zarazem były zimne jak kulki rtęci.

Rozmawiał z nią jeszcze kilka razy; była umyta, uczesana i niezmienne grzecznie tytułowała go „panem profesorem”; wiedział, czemu to służy.

— Od pana profesora zależy, czy odbędę resztę kary...

Z zasądzonych ośmiu lat odsiedziała pięć miesięcy, więc trochę dziwacznie mówić o reszcie, ale to tylko taki jej skrót myślowy, w którym zawierała się nadzieja na amnestię, a także fachowa wiedza o wszystkich przepisach dotyczących skrócenia wyroku,

bo kryminaliści jak pacierz znają kodeks karny wykonawczy, i to jest ich talia znaczonych kart, którą z reguły ogrywiają prokuratora i sędziego penitencjarnego, a temu ostatniemu Żaneta już strzeliła bramkę,

gdyż w odpowiedzi na swoje urzędowe zapytanie, czy więzienny rygor może zaszkodzić cennemu zdrowiu skazanej, otrzyma równie urzędową odpowiedź twierdzącą, a pod nią będzie figurował podpis oraz pieczętka profesora nauk medycznych, Stefana Kozerskiego.

— Jesteś chora i nie możesz tam wracać — poinformował Żanetę, i wtedy napięcie zniknęło z jej twarzy, choć przecież od kilku tygodni wiedziała, że inaczej być nie może, a wąski margines niepokoju stąd tylko się brał, że szło o sprawę najwyższej dla niej wagi;

prywatnie był zdania, że takie jak ona powinny do końca życia siedzieć w więzieniu, i to w możliwie najcięższych warunkach, pamięć własnego losu bowiem nie tylko nie skłaniała go ku tolerancji, a przeciwnie, czyniła mu owe modne słówko humanistów czymś obmierzłym;

jedynie ten, kto widział przerastające wyobrażenie cierpienie niewinnych, rozumie, jak urągliwie kontrastuje z nim tolerancja dla drani;

lecz sąd nie pytał go o poglądy na winę i karę, ale o to, czy kryminalistka o pseudonimie Żaneta: a) naprawdę jest chora? b) czy w więzieniu może powtórzyć zamach samobójczy? Więc zgodnie z posiadaną wiedzą musiał dwa razy odpowiedzieć „tak”; inna sprawa, uśmiechnął się nad nie dopisanym do opinii *post scriptum*, że równie dobrze może powiesić się na wolności, oczywiście wcześniej wyrządzając mnóstwo krzywdy innym,

ale to nie będzie już wymiaru sprawiedliwości w najmniejszym stopniu obchodziło i obciążało, i na tym polega przecież cały dowcip oraz sens całej jego opinii, żeby żaden naczelnik, oddziałowy, wychowawca albo lekarz więzienny nie miał w związku z Żanetą kłopotów.

Orzeczono bezterminową przerwę w odbywaniu kary; w miejscu zamieszkania kuratelę nad Żanetą przejąłby rejonowy Zespół Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej oraz, ma się rozumieć, policja. Nie miał takiego obowiązku, ale uznał za właściwe przestrzec ją przed konsekwencjami uchylania się od comiesięcznych wizyt u lekarza i cotygodniowych w komisariacie; czyniąc straszak z siebie i psychiatrii, kreślił nieuchronną w takim wypadku perspektywę powrotu tutaj, do izolátky, pasów, podwyższonych dawek chloropromazyny — wzruszyła ramionami.

— To wszystko abstrakcja. Nie mogę jechać do domu.

Przywieziono mu ją do kliniki Akademii Medycznej; była 10.45, a o jedenastej zaczynał zajęcia ze studentami, którym chciał pokazać Żanetę. To miała być jedna z prób, jakim poddawał ich idealizm i szczeniacki zapał, rodzaj selekcji, podobnie jak na pierwszym roku prosektorium, bo niechże ci przyszliz lekarze duszy mają, do cholery, świadomość,

że w odróżnieniu od chirurgów, internistów, okulistów i laryngologów, co i rusz będą się stykać z przypadkiem wzbudzającym moralny wstręt, silniejszy i stokroć bardziej uzasadniony od tego fizycznego, wywołanego widokiem krwi, ropy czy tkanki rakowej;

poprzedniemu rocznikowi zademonstrował parkinsoniaka, który napastował seksualnie dzieci; Żaneta ze swą bystrością, urodą i rodzajem wdzięku mogła wyrzucić jeszcze mocniejsze wrażenie.

Przedtem w gabinecie poczęstował ją herbatą.

— Dlaczego abstrakcja? Za kilka dni przyjedzie po ciebie matka...

Na chwilę przymknęła oczy; myślał, że chce się zaciągnąć, ale papieros minął jej twarz, i usta,

które przywarły nagle do nadgarstka, jakby składając na nim pocałunek; potem strzepnęła popiół do stojącej między nimi popielniczki, i na szkło biurka pocięła krew.

Był to jeden z tych nielicznych momentów, kiedy psychiatrze potrzebna jest wiedza lekarska; nie stawiała oporu, pozwoliła ucisnąć przedramię opaską; bezwolną, cicho płaczącą, prowadził korytarzem do gabinetu zabiegowego, w stronę dokładnie przeciwną niż sala, gdzie oczekiwali studenci; chyba szkoda, że tego nie widzieli, przebiegło mu przez myśl.

Za trzy dni miała być wypisana w tak zwanej niepełnej remisji, co po ludzku znaczy, że psychiatrzy zrobili, co mogli, wariatka jest już tylko pół-wariatką i niech wraca do rodziny, bo szkoda dalszego zachodu, do końca i tak się jej nie wyleczy; lecz przegryzając żyły Żaneta odzyskała godność wariatki całkowitej, a co za tym idzie, także przywilej przebywania w domu wariatów; mało tego, zasłużyła sobie na potrójne dawki leków i honorową całodobową wartę personelu u drzwi izolatki.

Taki reżym trwał miesiąc, po czym ordynator zatelefonował do niego z ponowną prośbą, by skonsultował przypadek; zirytował się, bo przecież od strony diagnostycznej nie mogli mieć żadnych wątpliwości, i potrzebowali tylko jego podpisu; skazana wyrokiem sądu pacjentka pozostawała, paradoksalnie, pod

szczególną opieką prawa, więc też szczególne kłopoty miałby lekarz, gdyby z Żanetą, lub za jej sprawą, wydarzyło się coś złego; pożąдали zatem jego autorytetu, by w razie czego móc się nim zasłonić — to nie my, to on, ten sławny profesor się pomylił!

Znów jej izolotka, przysunął krzesło do łóżka; odłożyła książkę i trochę się zdziwił, że czyta *Kwiatki świętego Franciszka*.

— Zrobiłaś to, żeby opóźnić powrót do domu?

— Bo nie mogę tam wrócić...

— Boisz się rodziny tego chłopca, którego zamordowaliście?

Zaprzeczyła ruchem głowy; po chwili wahania spokojnie, rzeczowo wyłuszczyła prawdziwy powód.

Służbowy samochód czekał na podjeździe, by zabrać go z powrotem do Akademii Medycznej, szatniarz guzdrał się podając mu palto; Kozerski w zawieszonym obok szatni lustrze widział swoją twarz, starą i zmęczoną, i irytował się, że starości i zmęczeniu przydano jeszcze nowy kłopot;

bo w tej chwili nie pozostawało nic innego, jak tylko zwrócić się do władz sądowych, żeby natychmiast wycofały postanowienie, jako że żadnej przerwy w odbywaniu kary być nie może, i ona musi, bezwzględnie musi, pozostać w zamknięciu oraz ścisłej izolacji, najlepiej na psychiatrycznym oddziale więziennym, tak, panie sędzio, mam świadomość, że takie oddziały są tylko dwa w kraju i dysponują łącznie trzydziestoma łóżkami dla najbardziej niebezpiecznych, chorych psychicznie przestępców, ale właśnie ta dziewczyna, zaręczam panu, należy do pierwszej trzydziestki; sędzia zażąda argumentów, więc uchylił się od bezpośredniej odpowiedzi, ponieważ nie wolno mu łamać tajemnicy lekarskiej i ujawniać zwierzeń chorych,

powoła się jednak na swe wieloletnie doświadczenie i prosi, by nie lekceważono jego rady, tak samo jak apelowałby

do rozsądku pracownika zoo, gdyby ten chciał wypuścić na wolność jadowite węże i pająki;

do dzisiaj nie wie, czemu nie wysłał pisma ani nie porozmawiał z sędzią.

— Mogłabym pracować w jakimś przytułku albo domu starców jako salowa. Tylko za dach nad głową i jedzenie, bo forsa mi niepotrzebna.

Znał taki jeden, prowadzony przez siostry albertynki, więc tam załatwił jej pracę. Sędzia penitencjarny to zaakceptował, musiała jedynie okresowo meldować się na posterunku policji.

— Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił — powiedziała, gdy przyniósł jej te wieści. — Pewnie się już więcej nie zobaczymy.

Miała rację; kiedy dwa lata później pojechał do tych sióstr, dowiedział się, że umarła.

Ogród wydawał się znacznie większy, niż był w rzeczywistości, a to za sprawą wszechobecnego chruśniaku z labiryntem wąskich ścieżek, po których kluczył, kluczył, kluczył,

kierując się ku źródłu dźwięku; harmonijka ustna grała czysto i płynnie, więc nie rozumiał, skąd wplatają się nagle tony ewidentnie fałszywe, tak że nawet jego niemuzyczne ucho to wychwytywało; melodia momentami urywała się, zaczynała, przechodziła w żalosną kocią muzykę;

a to próbował grać Słonik; wyciągał po instrument rękę, a dziewczyna, niby przeszyty strzałą krakowski hejnalista, przerywała w pół tonu,

by włożyć w błagalnie wysuniętą dłoń pudełko z dźwiękami, a on przykładł do ust, i starał się je wyssać jak sok z owocu,

zachłannie, łapczywie, głuchy całkiem na kakofonię; aż z przeciągłym cmoknięciem odklejał wargi od harmonijki, dziewczyna dyskretnie obcierała z niej ślinę,

i od urwanego przedtem dźwięku wracała ciągłość melodii, a to był wyraźnie jakiś motyw country, chyba *Take me Home, Country Road*; obserwował troje siedzących przy prymitywnym ogrodowym stole: śliniący się Słonik, pan Leon z rozłożonym albumem kart telefonicznych i Anka, którą wtedy poznał.

Pan Leon zauważył go pierwszy i pokazał swym długim palcem.

— Nie pokazuje się palcem — skarciła go dziewczyna.
— Nigdy tak nie rób, jeżeli chcesz być wytworny.

A kiedy do nich podszedł, wstała i podając dłoń, cicho, ale bardzo wyraźnie przedstawiła się:

— Anna Bielczyk, jestem ich wychowawczynią.

Za ogrodzeniem był stromy stok, a w dole tory kolejowe.

— Poczekała, aż elektrowóz minie tamte drzewa, i zbiegła. Nie, to nie było samobójstwo, tam, gdzie zaczyna się żwir, chciała się odbić i przeskoczyć szyny. Zmierzyła przedtem stoperem swój czas, i czas pociągu:

szansa, że zdąży, była jedna na tysiąc, może na milion, ale jednak szansa.

Kozerski ostrożnym starczym krokiem schodził po stromiźnie; i miał przed sobą włosy Anny rozwiewane przez wiatr: szła pierwsza, dyskretnie go asekurując.

— To była jej decyzja czy twoja?

Zatrzymała się; stojąc metr niżej, podniosła wzrok, lecz nie miał pewności, czy patrzy na niego, czy w przestrzeń, zamkniętą masywem klasztoru.

— Między nami była zasadnicza różnica — powiedziała, wyciągając z kieszeni džinsów czarną frotkę i spinając włosy.
— Ja chcę robić coś pożytecznego, podnosić swoje kwalifikacje, a ona traktowała pobyt tutaj wyłącznie jako karę, pokutę; uprawiała to, co ja nazwałam moralną buchalterią, wie pan, bilansowanie złych i dobrych uczynków, ale ten bilans, niestety, nie chciał się wyzerować.